Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Na Jasiołdzie. Z polowań Koła Miłośników Łowiectwa.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 20 (675) 14 MAJA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI:

Pp. Myśliwych, którzy przestali prenumerować „Łowca Polskiego", uprzejmie prosimy o zwrot numerów styczniowych. Przesyłki na opasce zawierać powinny napis: druki.



Pan Prezydent R. P. w otoczeniu przedstawicieli rządu i organizacyj łowieckich, strzeleckich i łuczniczych na Zamku w dn. 8 b. m. (patrz sprawozdanie na str. 241). Fot. W. Pikiel.

O PIĘKNEJ LITERATURZE ŁOWIECKIEJ W POLSCE*).

W umyśle laika — wyraz „łowiectwo" kojarzy się wielką liczbą najróżnorodniejszych pojęć. Dla laika łowiectwo — to i mrożąca krew w żyłach notatka dziennikarska o nauczycielu szkoły powszechnej z Małopolski rodem, którego rozszarpały wilki w powiecie dziśnieńskim; to i martwy zając z głową, owiniętą papierem, zwisający smętnie u wrót sklepu gastronomicznego; to i pan w kapeluszu z piórkiem i ze strzelbą w futerale pod pachą, robiący tłok przy kasie na dworcu kolejowym w sobotę wieczorem; to i straszliwe wyczyny łowieckie p. Feliksa Dangla w kolorowych dżunglach „Światowida"; to i piękny plakat propagandowy na użytek zagranicy z napisem „Pologne — pays de chasse", który każdy cudzoziemiec z łatwością oglądać może na stacjach kolejowych w Podświlu, Łyntupach lub Mordyczach, a który przedstawia myśliwca, pochylonego nad zwierzem jakiegoś trudnego do określenia gatunku; to i wreszcie wydawane przy „Słowie" wileńskiem „Trąbki" — lub jak chce tegoroczna szopka akademicka — „Otręby myśliwskie"... Tak to — bardzo różnorodnie i trochę chaotycznie — układa się w umyśle laika wyraz „łowiectwo"...

Lecz kogo uważam za laika w dziedzinie łowiectwa? Nikogo z tu obecnych, którzy już mi ten wielki zaszczyt zrobili przybywając na „moją" środę, nie chcę urażać, lecz pragnę być szczery i stanowczy. Dlatego też oświadczam: — z punktu widzenia myśliwego laikiem jest każdy, kto się urodził bez żyłki myśliwskiej. Z punktu widzenia myśliwego urodzić się bez żyłki myśliwskiej, to to samo, co z punktu widzenia muzyka urodzić się bez ucha, z punktu widzenia malarza — bez oka, z punktu widzenia smakosza — bez podniebienia. Z tak stanowczego postawienia sprawy wynikłoby, że wogóle nie może być mowy o porozumieniu między myśliwym a laikiem łowieckim... Że myśliwi są tem dla reszty spo-

*) Odczyt wygłoszony na t. zw. środzie literackiej w Zw. literatów w Wilnie.

łeczeństwa, czem pływająca wyspa z rozbitkami dla bałwanów morskich... Że świat myśliwych to kasta w sobie zamknięta, to loża zaprzysiężonych czcicieli kultu, których niewtajemniczeni traktują z pewnem pobłażaniem, z jakiem traktuje się zwykle filatelistów, numizmatyków i zbieraczy pocztówek.

Czy wobec tego, mówiąc językiem polityków, można znaleźć wspólną platformę dla porozumienia między myśliwymi i niemyśliwymi? Pytanie staje się wręcz groźne, jeżeli zważymy, że łowiectwo — rozpatrywane jako kongregacja czcicieli jakiegoś dziwacznego kultu — jest przez bardzo wielu ludzi ze świata myśliwskiego zaledwie tolerowane, przez niektórych — wręcz zwalczane. Taki przeciętny bubek z obozu niemyśliwskiego chce widzieć w myśliwym wyrafinowanego mordercę, co wnosi śmierć i zniszczenie do świątyni przyrody. Dla takiego bubka symbolem kultu łowieckiego jest ów zdechły zając ze sklepu spożywczego z głową, owiniętą w skrwawiony papier. Nie tu czas i miejsce dowodzić, że łowiectwo — to nie niszczenie przyrody, lecz jej ochrona, podobnie, jak nie niszczycielem, a hodowcą bydła jest właściciel obory, choć co roku oddaje pod nóż rzeźnicki pewien odsetek mieszkańców tej obory.

Już mimochodem potrąciłem o krawędź tej wspólnej platformy, na której zasiądą do rzeczowej pogawędki srogi myśliwy z łagodnym niemyśliwym i będą leli wodę na miecze, jak to czynili Burłaj z Tuhaibejem, lub wypalą fajkę pokoju, jak to czynili inni Indjanie. Już znaleźliśmy pierwszą styczną pomiędzy łowiectwem i nie-łowiectwem. Boć jeśli myśliwy to nie morderca, a mądry pasiecznik, co wprawdzie część miodu od pracowitych pszczółek zabiera, lecz zarazem dokarmia je, grzeje zimą, słowem — hoduje i rozmnaża, tedy dojdziemy do przekonania, że łowiectwo to nie niszczenie przyrody, lecz jej umiłowanie i ochrona.

Tych stycznych mamy o wiele więcej. Na wstępie napomknąłem, jak dużo różnorodnych pojęć budzi w umyśle laika wyraz „łowiectwo". Każde z tych pojęć wzięte zosobna, jest wąskie i obejmuje zaledwie cząstkę tego, co my nazywamy łowiectwem, lecz każde z nich jest słuszne w zasadzie. Laik, dla którego łowiectwo mieści się w ubitym zającu, stanowiącym przedmiot handlu, dostrzega — może podświadomie — ekonomiczny pierwiastek łowiectwa. Laik, personifikujący łowiectwo z plakatem propagandowym: „Pologne — pays de chasse" — zaczyna rozumieć łowiectwo, jako czynnik międzynarodowego zbliżenia. Laik, zachwycający się „Puszczą" Weyssenhoffa lub „Obławnikami" Fałata, musi przyznać, że łowiectwo jest nieprzebraną skarbnicą inwencji artystycznej. Wszystko to będą styczne łowiectwa z „niełowiectwem". Liczbę tych stycznych możnaby mnożyć bez końca. Noszę się nawet z wielkim, jako inwencja, lecz trochę naiwnym ze względu na siły zamiarem napisania wielotomowego dzieła, któremu dam tytuł: „Filozofja łowiectwa". Śnią mi się kredowe karty, suto ilustrowane przez mistrzów pendzla i piórka... Śnią mi się wielomówiące, bogate w treść rozdziały — widzę tytuły tych rozdziałów: łowiectwo, jako ochrona przyrody; łowiectwo, jako zagadnienie ekonomiczne; łowiectwo, jako literatura i sztuki plastyczne; łowiectwo, jako wychowanie narodowe; łowiectwo — jako wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe; łowiectwo — jako pomost duchowy pomiędzy miastem i wsią; łowiectwo — jako gałąź nauk przyrodniczych i t. d. Przyszłe dzieło moje obejmie, wyliczy, posegreguje wszystkie punkty styczne świata myśliwskiego ze światem niemyśliwych... Zapewne napiszę takie dzieło dopiero wtedy, gdy Państwo Polskie utworzy osobne Ministerjum Łowiectwa i gdy Minister tego Ministerjum w porozumieniu z Ministrem Oświecenia Publicznego utworzy w każdym uniwersytecie fakultety łowieckie. Będę kandydował wówczas na profesora łowiectwa na U. S. B... Dla informacji zaznaczyć jednak muszę, że „Filozofji łowiectwa" jeszcze nie rozpocząłem.

Dzisiejsza pogawędka ma ramy bardzo wąskie i przedmiotem jej będzie tylko jedna „styczna"... Lecz i ta jedna jedyna styczna będzie potraktowana bardzo pobieżnie, bardzo ogólnikowo, w bardzo dowolnem streszczeniu... Z szerokiego pojęcia łowiectwa wezmę tę jedną cząstkę, która ma pewien związek z temi czcigodnemi murami*) — literaturę łowiecką... I, broń Boże, nie literaturę łowiecką, jako wielką całość, bo nie starczyłoby ani sił, ani czasu, ani cierpliwości słuchaczy. Wszak z elementami łowieckiemi spotykamy się w zaraniu dziejów piśmiennictwa całego świata. Już nie tylko jakieś „Metamorfozy" Owidjusza, lecz poprostu wszystkie niemal najstarsze legendy bezimienne wszystkich krajów i wszystkich ludów zawierają mniej lub więcej rozsiane, mniej lub więcej zgęszczone motywy łowieckie. Chcę dziś powiedzieć kilka słów o literaturze łowieckiej w Polsce. Ograniczę się przytem tylko do literatury współczesnej, mówiąc ściślej — tylko do pisarzy żyjących, bo jeżeli sięgnąć w przeszłość do zarania naszego polskiego piśmiennictwa, to znajdziemy taki ogrom, takie bogactwo elementów łowieckich, że trzebaby było pokaźnego tomiku, by te elementy tylko wyliczyć. Wyręczy mnie z czasem w tej żmudnej, lecz ciekawej pracy kapitan Józef Władysław Kobylański, jedyny w Polsce bibljograf łowiecki — pracownik niestrudzony, po benedyktyńsku cierpliwy, systematyczny i wytrwały, który już ogłosił drukiem pierwszą w Polsce bibljografję najnowszej literatury łowieckiej za lata 1918 — 1928.

Ograniczę się, powtarzam, do literatury ściśle współczesnej, przytem do literatury t. zw. pięknej, — i to nie pretendując bynajmniej do wyliczenia i omówienia wszystkich pisarzy łowieckich doby dzisiejszej. Nie jedną może nawet jednostkę wybitną i ciekawą wręcz pominę... Bo nie jest celem tego odczytu dać kieszonkową encyklopedję literatury myśliwskiej współczesnej... Chcę poprostu podkreślić znaczenie tej literatury dla literatury w ogólności.

---

*) Siedzibą Zw. literatów wileńskich są mury po-bazyljańskie w których mieści się sławna „cela Konrada".

W imię atoli stereotypowego nawiązania do przeszłości, nie mogę się powstrzymać od rzucenia okiem wstecz dla wyłuskania z lamusa tej przeszłości — bliższej i dalszej — paru klejnocików łowieckich. Któż to, jeżeli nie Krasicki, śpiewa w „Panu Podstolim" prawdziwy panegiryk na cześć łowiectwa, chwaląc walory myślistwa i cnoty myśliwego? Wpada przytem stanowczo w przesadę, twierdząc m. in., że czerstwość i zdrowie zawdzięcza myśliwy spożywaniu skromnych posiłków i — wody źródlanej... Z tą wodą źródlaną to napewno nie tylko dzisiaj, lecz i za czasów Krasickiego było trochę inaczej. To też słusznie czyni Mickiewicz, ratując honor myśliwych i wódką gdańską, złotem świecącą na słońcu, i półmiskami wędlin, sposobem domowym uwędzonych w kominie dymem jałowcowym... Któż to, jeżeli chodzi o bliższą przeszłość, jak nie Adolf Dygasiński, pierwszy niemal w Polsce „odkrył" ideę ochrony przyrody, wyciskając z oczu pozytywistów łzy gorzkie nad dolą zwierzęcia? Kogóż to, jeżeli nie Sienkiewicza, poniosła pasja myśliwska do Afryki, gdzie nie tylko pisał listy, lecz naprawdę polował a potem, w drodze powrotnej, trząsł się w febrze, zasłuchany w ryk lwa?... „Listy z Afryki", „W pustyni i w puszczy", sceny myśliwskie z „Krzyżaków", a zwłaszcza — opis zapomnianego już niemal dziś zupełnie sposobu polowania na wilki na wabia („Hania") — to prawdziwe perły przedwojennej literatury myśliwskiej.

Wzmianką o Sienkiewiczu zakończę tradycyjne nawiązanie do przeszłości. Myśląc jednak o tej przeszłości, muszę zrobić jedną uwagę zasadniczą — ważną dla zrozumienia znaczenia literatury łowieckiej w ogólności. Czy Mickiewicz był myśliwym? Jestem przekonany, że tak, gdyż nie będąc myśliwym, nie mógłby dać owego pełnego siły i prawdy myśliwskiej opisu obławy na niedźwiedzia. Sam zresztą nazywa siebie w innem miejscu „błahym strzelcem", z czego wynika, że strzelcem (myśliwym) był napewno. Innemi słowy: gdyby Mickiewicz nie był myśliwym, toby w „Panu Tadeuszu" nie było ani opisu matecznika, ani łowów na niedźwiedzia, ani sporu Kusege z Sokołem. Czy literatura, nie specyfikując jej na „łowiecką" i „niełowiecką", straciłaby na tem? Mam przekonanie, że tak. Stąd prosta konkluzja, że łowiectwo ma dla całokształtu literatury pięknej znaczenie bogatej skarbnicy pomysłów artystycznych. Już to jedno powinno zastanowić literata, będącego pozatem laikiem w łowiectwie.

I jeszcze jedna uwaga, jeżeli chodzi o ogólną charakterystykę literatury łowieckiej. Literaturę piękną w ogólności wyobrażam sobie, jako przedziwne naczynie, wypełnione melanżem płynów, nawarstwiających się i fermentujących wbrew normalnym zasadom chemji i fizyki. Dwa podstawowe elementy: wino i woda układają się w owem naczyniu dość dziwacznie. Na samym wierzchu stoi spokojna, dostojna, klarowna, aromatyczna, wystała, wypróbowana, nie bojąca się wstrząsów, warstwa literatury naprawdę pięknej — warstwa trwała i — cieniutka. Niżej — kotłuje, kipi, fermentuje, skrzy się iskierkami gazów, zaciemnia się kłębami mętów — literatura młoda: — jest to warstwa wiecznie trwała w ruchu, lecz wiecznie zmienna w swych składnikach; jedne z tych składników wyklarowują się w czyste wino i przechodzą do warstwy najwyższej — tych jest b. mało; inne opadają niżej. Pod tą warstwą leży warstwa trzecia — warstwa wody i mętów — grafomanja. Wypełnia ona 99/100 pojemności całego naczynia. Otóż literatura łowiecka, jako część literatury powszechnej, jest też podmyta od dołu wodą grafomanji. Jeno osobliwością literatury łowieckiej jest ciekawy fakt, że w żadnym innym dziale literatury zalew grafomanji nie jest tak olbrzymi, jak właśnie w literaturze łowieckiej. Osobliwość tę należałoby wyjaśnić. Zdawałoby się napozór, że myśliwy, nie będący najczęściej literatem z zawodu, powinien mieć raczej piórowstręt. Tak nie jest. Dlaczego? Dlatego, że każdy myśliwy, zaczynając od p. Włodzimierza Korsaka, a kończąc na niepiśmiennym białorusinie-kłusowniku, jest w duszy poetą. Poetyckość myśliwego zasadza się na prostym, szczerym, bezpośrednim i bezinteresownym stosunku do przyrody, na artystycznie czułem utrwalaniu doznań, ze stosunku tego wynikłych. Przeto każdy myśliwy jest w duszy artystą. A że nie umie najczęściej swego artyzmu uzewnętrznić, to nie jego wina, lecz zrządzenie losu, który mu nie dał tego, co nazwałbym nie genjuszem, nie zdolnościami, nawet nie tupetem, lecz poprostu — nerwem literackim. I oto notujemy rzecz ciekawą, rzecz w założeniu swem głęboko tragiczną: grafomanja łowiecka nie jest grafomanją powszechno-literacką. Grafoman, płodzący kretyńskie erotyki, to bęcwał, którego należałoby za kark wyrzucić z dobrego towarzystwa i albo zaprząc do miejskich robót wiosennych, albo zarejestrować, jako bezrobotnego kancelistę. Grafoman łowiecki—to artysta w duszy, przeżywający straszną tragedję impotencji formalnego uzewnętrznienia się... Gdyby istniało Ministerjum Łowiectwa i gdybym został mianowany ministrem tego ministerjum, tobym założył gdzieś w głębi Polesia lub w Karpatach wzorowe sanatorjum dla grafomanów łowieckich, gdzie pierwszorzędni neurolodzy leczyliby tych nieszczęśników środkami łagodnemi, nieraniącemi ambicji — hydroterapją, brydżem, wędlinami, kielichami wyborowej, polowaniem, znów hydroterapją — i tak w kółko — by chorzy nie mieli ani chwili czasu na pisanie. Obok tej, powiedziałbym — szlachetnej grafomanji łowieckiej istnieje grafomanja łowiecka złośliwa, tak, jak istnieje bankructwo złośliwe. Grafoman złośliwy nie jest ani artystą w duszy, ani myśliwym z powołania, lecz posiada wprost wdzięczny dar „bujania gości". Przykładem takiego bujania gości na melodje łowieckie są impresje myśliwskie, drukowane od czasu do czasu w tegorocznym i zeszłorocznym „Światowidzie".

Literaturę łowiecką, po odjęciu od niej grafomanji łowieckiej szlachetnej i złośliwej, podzielić można na cztery dość wyraźne grupy: — pierwszej klasy, gawędziarską, pieczeniarską i naukową. Ponieważ w tych pięknych i czcigodnych murach pragnę mówić wyłącznie o literaturze pięknej, przeto za jednym zamachem pominę dziś literaturę naukową. Należy się jej zresztą osobne i poważne studjum, jako gałęzi wiedzy pokrewnej przyrodoznastwu, rolnictwu, leśnictwu i t. p. z przyrodą związanym dyscyplinom.

(Dok. n.). MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

O REZERWATACH, ŁOWIECTWIE I OCHRONIE PRZYRODY.

(Dokończenie).

Już po napisaniu przeze mnie powyższego ukazał się w „Łowcu Polskim" (Nr. 13 b. r.) artykuł prof. Wodzickiego na temat łowiectwa i ochrony przyrody. W artykule tym prof. Wodzicki atakuje mnie bezpośrednio i pośrednio. Poddaje więc ostrej krytyce to, co napisałem na temat ochrony zwierzyny łownej i rezerwatów, prócz tego zaś gani gospodarkę łowiecką w Tatrach. Na zarzuty te muszę odpowiedzieć.

Przedewszystkiem więc prof. Wodzicki stara się sprostować moje poglądy na myśliwych. Pisze mianowicie „Już pomijam tę dziwną, najczęściej dla mnie niezrozumiałą nieufność, dziwne niedowierzanie przyrodników, szczególniej ze strony przyrodników-niemyśliwych, dla których myśliwy jest, sit venia verbo, czemś, co ma na celu jedynie strzelanie i zabijanie zwierzyny, dla których „ma istnieć tylko to, co daje mięso, względnie mięso i trwałe trofea. Resztę się tępi".

Tak więc prof. Wodzicki opinję swoją wziął za jedno z opinją niektórych przyrodników, którzy, nie orjentując się zupełnie w sprawach łowieckich, uważają myśliwych za ludzi, zajmujących się jedynie strzelaniem wszystkiego, co się pod lufy nawinie. Zdziwiło mię to bardzo. Muszę skonstatować, że prof. Wodzicki bardzo pobieżnie przeczytał mój artykuł i zupełnie nie starał się wniknąć w jego treść.

Mnie chodziło o co innego. Dość wyraźnie to podkreśliłem, aby można było zrozumieć, że nie chodziło mi o tak zwanych „Aasjägrów". Tym typem „myśliwych" zupełnie się nie zajmowałem. Wprost przeciwnie chodziło mi o tych, którzy reprezentują to, co u nas nazywa się „prawdziwem myślistwem". Otóż reprezentanci tego kierunku wkładają cały swój zapał myśliwski w wysiłki, mające na celu zachowanie pewnych gatunków zwierzyny i wytępienie innych. Wszystko, co ma kły i pazury, w myśl głoszonych przez nich haseł winno być niszczone bez ograniczeń. Taka jest niestety opinja nie tylko przeciętnych myśliwych w Polsce, ale również i tych, którzy w organizacjach myśliwskich zajmują czołowe stanowiska. Polowałem w Polsce z kilkudziesięciu myśliwymi conajmniej. Takąż liczbę znam z życia prywatnego i z pracy w organizacjach myśliwskich. Poza tem czytuję naprawdę uważnie prasę łowiecką. Mogę więc upewnić prof. Wodzickiego, że się nie mylę, i że pogląd mój na nasz świat myśliwski nie jest błędny.

Dlatego też napisałem, że „obecnie pozostawienie opieki nad zwierzyną wyłącznie myśliwym nie wydaje mi się możliwem". Pogląd ten podtrzymuję, nie uważam bowiem za dopuszczalne powierzanie opieki nad fauną ludziom, których naczelnem hasłem jest „tępić". Dopóki hasło to nie będzie poddane rewizji, dopóki pisma łowieckie nie zaczną propagandy za ochroną drapieżników, dopóty musi istnieć rozdźwięk między światem myśliwskim i ochroną przyrody.

Niewątpliwie są wśród naszych myśliwych wyjątki. Uświadomienie zatacza coraz to nowe kręgi. Zdaję też sobie sprawę z tego, że nie jest już tak odległym czas, w którym szerokie rzesze naszych myśliwych przejmą się całkowicie ideologją ochrony przyrody i zaczną brać pod uwagę zdobycze nauki. Dopóki to jednak nie nastąpi, pełne porozumienie i całkowicie zgodna współpraca „ochroniarzy" i przyrodników z myśliwymi nie jest, zdaniem mojem, możliwa. Sądzę też, że to nie ochroniarze, a myśliwi właśnie winni poddać swe wierzenia rewizji i od nich to jedynie zależy uzyskanie pełnego zaufania świata przyrodniczego co do ochrony fauny.

Teraz sprawa rezerwatów. Otóż prof. Wodzicki poruszył bardzo ważne zagadnienie organizacji rezerwatów, zagadnienie prowadzenia w nich gospodarki łowieckiej. Najzupełniej się zgadzam z prof. Wodzickim, że gospodarka łowiecka w rezerwatach musi istnieć, pisałem o tem zresztą dość dawno, bo 7 lat temu („Ochrona Przyrody" Zesz. V, 1925), a odpowiedni ustęp zacytowałem w Nr. 8 „Łowca Polskiego" z roku bieżącego, w artykule, który właśnie hr. Wodzicki tak nieuważnie czytał. Inaczej bowiem doczytałby się tam takiego zdania: „Nie możemy się łudzić, żeby zwierzęta w Tatrach żyły w naturalnych warunkach dziewiczej przyrody, bo tej dziewiczej przyrody w Tatrach niema".

Z artykułu hr. Wodzickiego wynika zaś, jakobym był zdania, że przyrodę tatrzańską uważam za zupełnie niezmienioną, dziewiczą. Podkreślam, że pisałem coś wręcz przeciwnego. Nie wszystkie też góry w Polsce to Tatry. A zdanie „chodzi o to, by w pierwotnej, przepięknej głuszy gór jelenie, tak, jak to im było sądzone od wieków, walczyły o byt" wcale nie musi pozostać pium desiderium. Trzeba się tylko dokładniej zastanowić nad istotą rezerwatu i właśnie nad tem ograniczeniem gospodarki łowieckiej do minimum. Nie chcę się tu jednak na temat gospodarki łowieckiej w rezerwatach rozpisywać; nie wątpię, że będę miał jeszcze sposobność do tego tematu powrócić.

Muszę tylko zabrać głos w sprawie gospodarki łowieckiej w Tatrach, ponieważ zarzuty hr. Wodzickiego co do tej gospodarki częściowo i mnie dotykają. Ja to bowiem z ramienia Fundacji Kórnickiej tę gospodarkę prowadziłem, a mianowicie w latach 1927 — 1930.

Hr. Wodzicki pisze: „czy nawet dla przeciętnego myśliwego-hodowcy można nazwać normalnym stosunek 21 byków do 47 łań, jak to ma miejsce w jednym z obwodów łowieckich?".

Co ma znaczyć to zapytanie? Co hr. Wodzicki rozumie przez obwód? Zapewne jakąś część lasu; — tę właśnie, w której w czasie obliczania (podziwiam tę dokładność) było tyle i tyle byków i łań. A jak było w sąsiednim obwodzie? Coś w tem zapytaniu niedomaga. Zresztą, jak wykażę poniżej, gdyby nawet zarzut nieodpowiedniego stosunku płci był postawiony w stosunku do całego łowiska Fundacji, to i tak byłby niesłuszny.

Od jesieni 1930 roku w Zakopanem nie mieszkam i nie wiem tak dokładnie, jak hr. Wodzicki, co się w Tatrach dzieje. Niezależnie jednak od tego, co pisze hr. Wodzicki, mam wszelkie powody przypuszczać, że z punktu widzenia hodowli łowieckiej stan jeleni w polskich Tatrach nie jest idealnym. W każdym

bądź razie w roku 1930 łań w stosunku do byków było za dużo, co ważniejsza zaś, dużo było łań starych, jałowych, poza tem były również byki, które z punktu widzenia łowieckiego należało odstrzelić. Niemniej jednak odstrzału tego z wielu względów nie można było przeprowadzić.

Samo konstatowanie faktu nieodpowiedniego stosunku liczbowego byków i łań w Tatrach polskich, nie powinno objektywnego krytyka prowadzić bezpośrednio do stawiania zarzutów. W takich rzeczach nie tylko pożądaną, ale nawet konieczną rzeczą jest znajomość przyczyn, dla których taki fakt zaistniał.

Gdyby hr. Wodzicki znał warunki lokalne w Tatrach, gdyby się z problemem i jego literaturą zapoznał, być może nie postawiłby tego zarzutu. Skoro jednak zarzut ten postawiono, muszę wyjaśnić, w jakich warunkach trzeba było organizować gospodarkę łowiecką w Tatrach.

Obejmując tam sprawy łowiectwa, zastałem stan rzeczy poprostu rozpaczliwy. Kłusownictwo kwitnęło w górach w sposób nigdzie bodaj nie notowany. Było ono niemal oficjalnem. Tereny łowieckie dzierżawili w Tatrach albo kłusownicy, albo też ludzie przez kłusowników podstawieni, kłusownicy zaś byli u tych podstawionych strażnikami łowieckimi i strzelali przez okrągły rok wszystko, co się tylko pod lufę nawinęło. W zarządach większej własności nikt się gospodarką łowiecką nie interesował. Dość powiedzieć, iż polowanie w części lasów, należących do dóbr Zakopane, wydzierżawił jeden z największych kłusowników tatrzańskich.

Z chwilą gdy zarząd Fundacji postanowił zrobić z tem porządek, gdy właśnie ze względów na ochronę przyrody postanowił wprowadzić gospodarkę łowiecką w Tatrach, cały wysiłek w pierwszym okresie tej gospodarki należało skierować na zwalczanie kłusownictwa oraz na skupienie rewirów łowieckich w jednem ręku. Trudności w tym kierunku były bardzo duże. W rezultacie jednak, począwszy od grani szczytów, okalających dolinę Kościeliską od zachodu, aż po dolinę Białki (wschodnią granicę Tatr polskich) z gminą Brzegi włącznie, polowanie w całych Tatrach (za wyjątkiem terenów, należących do pp. Uznańskich) należy obecnie do Fundacji Kórnickiej.

Na terenie tym trzeba było zaczynać od początku. Zwierzyny na nim nie było. Jeśli po trzech latach udało się pod względem ilościowym doprowadzić stan zwierzyny do pewnego poziomu, to tylko dzięki dobremu sąsiadowi, właścicielowi dóbr Jaworzyna w Czechosłowacji, ks. Hohenlohe.

Jelenie w Tatrach polskich trzymają się w sąsiedztwie dóbr Jaworzyna. Większość jeleni trzyma się Gołego Wierchu, okolic Hurkotnego i Kiczory. Pewna ilość występuje też w lasach niżnych ku Brzegom. Drugą ostoję stanowi Czuba i dolna część Roztoki. Latem jednak posuwają się jelenie i trzymają stale i w górnych partjach Roztoki. Ten wąski pas występowania jeleni w Tatrach polskich nie stanowi ich samoistnej ostoi, przeciwnie, jest on tylko małą, brzegową częścią krainy jelenia w Tatrach, której ośrodkiem są dobra Jaworzyna.

Do rewirów Fundacji Kórnickiej jelenie przyszły z Jaworzyny. Trzeba było dużo wysiłku, by jelenie te u nas utrzymać, względnie, by rozszerzyć ich zasięg i na polskie Tatry. Jeleń bowiem granic politycznych nie zna i te same jelenie pewnego dnia są w dobrach Zakopane w Polsce, drugiego w dobrach Jaworzyna w Czechosłowacji. Stosunek liczebny płci i obecności w łowisku sztuk, które powinny były być odstrzelone jest więc zależny od prowadzenia gospodarki łowieckiej w obu wyżej wymienionych łowiskach. W pierwszym zaś rzędzie odpowiada zań gospodarstwo łowieckie w Jaworzynie, ono bowiem z większą łatwością mogło przeprowadzać racjonalny odstrzał. Nawiasem dodam, że gospodarstwo łowieckie w Jaworzynie jest prowadzone na zasadach wyłącznie łowieckich i jest zresztą słynnem z tego na cały świat.

Każdy zaś myśliwy, który cośkolwiek miał wspólnego z gospodarką łowiecką, zrozumie, że nie można było zacząć zaprowadzania jeleni w Tatrach polskich od wystrzeliwania tych sztuk, które tu zaczynały ściągać i osiedlać się. Nie można było tego zrobić i z wielu innych względów. Nie o wszystkich mogę tu, czy chcę mówić, ale już sam wzgląd propagandy i popularyzacji Parku Narodowego w Tatrach nie pozwalał nad odstrzelenie kilkudziesięciu procent zwierzostanu w samym początku działalności, mającej na celu ochronę zwierzyny.

To są dane faktyczne, to jest istotny stan rzeczy, który hr. Wodzicki mógł sprawdzić czy to na podstawie literatury, czy też zasięgając na miejscu informacyj od ludzi wiarogodnych, a objektywnych. To należało sobie zrobić, zanim się postawiło ciężki zarzut złej, bo w imię ochrony przyrody prowadzonej, gospodarki łowieckiej. Hr. Wodzicki zaś ze sprawą się nie zaznajomił. Stawia zarzuty niesprawiedliwe i uogólnia je następnie. Daje „przykład tego, co uczyniła i czyni ochrona przyrody w rezerwatach, pozostawionych wyłącznie jej opiece bez współudziału świata łowieckiego".

Nie wiem, co prof. Wodzicki nazywa „światem myśliwskim", stwierdzam jednak i zwracam na to prof. Wodzickiemu uwagę, że opieka nad zwierzostanem w Tatrach była właśnie powierzona myśliwemu. Była powierzona mnie, a ja jestem myśliwym, czego zapewne prof. Wodzicki kwestjonować nie zechce. Jest mi to zresztą zupełnie obojętne, czy kto mnie uważa za myśliwego, czy nie. Jeśli to podnoszę, to tylko dlatego, żeby stwierdzić, że zarzut prof. Wodzickiego, jakoby ochrona przyrody pracowała bez współudziału myśliwych jest, jak i inne Jego zarzuty, niesłuszny.

Pan profesor Wodzicki chce być medjatorem między światem myśliwskim i ochroną przyrody. Pisząc jednak takie artykuły, jak ten, o którym mowa, czyni coś wręcz przeciwnego. Chcąc pogodzić dwa poglądy, dwie metody pracy, trzeba się z niemi wpierw dokładnie zaznajomić. Wówczas uniknie się, jak sądzę, mimowolnego insynuowania komuś poglądów, których nie ma i których nigdy nie wypowiadał.

Jednak nie o to chodzi. Chodzi o dobro sprawy.— Otóż niewątpliwie istotną, dobrą stroną artykułu prof. Wodzickiego jest wysunięcie na plan pierwszy konieczności gospodarki łowieckiej w rezerwatach. Nie wiem, czy P. R. O. P. nad tem się zastanawia.

A czas na to najwyższy, boć rezerwatów mamy już cały szereg.

Nie wystarcza jednak samo postawienie tezy, że gospodarka łowiecka w rezerwatach winna być prowadzona „za pośrednictwem myśliwych pod kierunkiem teoretycznych wskazówek ludzi nauki. Inaczej zejdziemy rychło z niedźwiedziem, łosiem, a może nawet i z jeleniem na ten „ostatni szaniec, na tę ostatnią linję odwrotną rezerwatów", gdzieśmy już zeszli z żubrem, a dokąd jeśli dobrze rozumiem, chce już prof. Domaniewski zejść z niedźwiedziem, jeleniem i żbikiem".

To są ogólniki, które bardzo niewiele mówią. — Rzecze trzeba opracować. Nie wątpię, że prof. Wodzicki, jako uczony i myśliwy zarazem, zechce w czasie najbliższym program taki rozwinąć.

Jeszcze jedno sprostowanie. Nie pisałem tego nigdzie, a z tego, co pisałem na temat ochrony przyrody i łowiectwa, w żadnym razie nie może wynikać, bym z niedźwiedziem, jeleniem, łosiem i żbikiem chciał schodzić tam, gdzieśmy zeszli z żubrem. I tu więc prof. Wodzicki źle mię zrozumiał.

Kończąc, w celu uniknięcia dalszych nieporozumień, muszę streścić swoje poglądy na stosunek łowiectwa do ochrony przyrody. Poglądy te wypowiedziałem w kilku artykułach, jak mi się zdawało dość jasno, najwidoczniej zostałem źle zrozumiany.

1- Łowiectwo, które ma olbrzymie zasługi na polu zachowania szeregu przedstawicieli fauny łownej, w dalszym ciągu przedstawia doskonałe gwarancje co do zachowania niektórych gatunków zwierząt łownych i ono też przedewszystkiem jest powołane do sprawowania opieki nad temi zwierzętami.

2- Łowiectwo w dzisiejszym stanie rzeczy napotyka na znaczne trudności w zachowaniu szeregu przedstawicieli naszej fauny. Powinno ono otrzymać pomoc z zewnątrz, przedewszystkiem ze strony ochrony przyrody.

3- Ponieważ ideologja ochrony przyrody wymaga nietylko zachowania fauny, ale również zachowania fauny we właściwem jej otoczeniu, trzeba tworzyć rezerwaty.

4- Łowiectwo dąży do zachowania tylko niektórych gatunków zwierząt, inne tępi. Z tego względu łowiectwo nie może objąć opieki nad całością fauny. Jeśli łowiectwo zgodzi się objąć opiekę nad całością fauny, to sprawę zachowania takowej będziemy mieli rozwiązaną.

5- Ścisłe porozumienie, a następnie wspólna, zgodna praca łowiectwa i ochrony przyrody powinny nastąpić jak najprędzej. Nieporozumienia, które dotychczas istnieją łatwo mogą być usunięte z chwilą, gdy łowiectwo zapozna się dokładnie z ideologją ochrony przyrody i z wynikami dociekań naukowych, dotyczących biologji zwierząt łownych. Łowiectwo musi poddać gruntownej rewizji swoje niektóre przestarzałe zasady i wierzenia, a ochrona przyrody, zaznajomiwszy się z istotą łowiectwa, musi nabrać doń tego zaufania, na które ono zasługuje.

6- Gospodarka łowiecka w rezerwatach musi istnieć. W żadnym razie jednak nie może być oddana tym, którzy w programie swej działalności na jednem z naczelnych miejsc stawiają tępienie zwierząt.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

*

Zamieszczając powyższą replikę, muszę się przedewszystkiem zastrzedz przeciwko zarzutowi złośliwości, który mi Szanowny Autor kilkakrotnie stawia. — W artykułach swoich staram się poruszony temat traktować jaknajbardziej rzeczowo, wszelkich zaś złośliwości i wypadków pod czyimkolwiek adresem świadomie, z całą starannością się wystrzegam, uważając to za rzecz szkodliwą dla poruszonej sprawy, sprowadzającą polemikę na niewłaściwe tory, a już zupełnie nie na miejscu ze strony redaktora pisma. Bezstronnej ocenie czytelników pozostawiam,czy jakie złośliwości znalazły się w mym artykule, i czy czasem nie znalazłyby się raczej w obecnej replice prof. Domaniewskiego. Nie chcę też w szczegółową dyskusję nad każdym z Jego wypadów pod moim adresem wchodzić. Z przykrością muszę zaznaczyć, że nie mam szczęścia do polemik na łamach „Łowca P.". Aczkolwiek staram się poglądy swe jasno i rzeczowo przedstawić, to jednak właśnie najistotniejsze punkty mych zapatrywań bywają przeoczane przez moich opozycjonistów. Wszak i obecnie to, co napisałem w odpowiedzi prof. Domaniewskiemu—to cały program ochrony fauny puszcz naszych, przeciwstawiony programowi tworzenia dla tego celu rezerwatów, pod któremi, aby nie spierać się o słowa, rozumiem obszary, ustawowo wyłączone z pod ingerencji człowieka.



Trofea jednego rzoka. Fot. W. Dernałowicz.

Która z tych dróg, mających osiągnięcie jednego wspólnego celu na widoku, jest lepsza, to rzecz badań i dyskusji, jednak prof. Domaniewski z tej strony do zagadnienia nie podszedł i nie usiłuje wykazać w swej replice, w czem program ten, jeśli go nie podziela, jest błędny, względnie niedostateczny. Jedyny argument, który prof. Domaniewski w tym kierunku wysuwa — to okoliczność, że puszcze nasze przeżyły wielu swych mieszkańców, z czego wypływałoby, że samo zachowanie tych puszcz należy uznać za niedostateczne. Zgoda. Czy jednak możliwy jest wypadek odwrotny, by fauna przeżyła puszcze, które zamieszkiwała? Sądzę, że z bardzo nielicznemi i pozbawionemi większego znaczenia wyjątkami, — nie. Zachowanie więc puszcz pozostanie zawsze, jeśli nie jedynym, to w każdym razie najistotniejszym warunkiem zachowania przeważającej części najbardziej wartościowych przedstawicieli naszej fauny.

Godzę się najzupełniej z prof. Domaniewskim w jego obawach, że puszcze nasze mogą z czasem utracić swój charakter i że zatracanie tego charakteru ma miejsce i obecnie. Dzieje się to jednak nie dla rozumnych i ważnych powodów oraz konieczności natury gospodarczej, ale przedewszystkiem z chciwości i bezmyślności ludzkiej. Tyle głupstw narobiono i robi się codziennie, że pole do słusznych obaw zawsze istnieje. Ale ja, pod wpływem tych obaw, uważałem za właściwe rzucić hasło „chrońmy puszcze nasze", wzywając do wspólnej obrony tego hasła świat leśników, ochrony przyrody i łowiecki, — gdy prof. Domaniewski, zdaje się, uważa sprawę za beznadziejnie przesądzoną, i cały ratunek widzi w rezerwatach. Co do mnie samego pojęcia rezerwatu, jako środka ochrony przyrody, nie uważam za dostatecznie sprecyzowane, a skuteczności tego środka we wszystkich kierunkach — za dostatecznie ustaloną.

Stuprocentowy rezerwat, który byłby zdolny zachować zarówno martwą naturę, jak florę i faunę, uważam naogół za nieosiągalny ideał, uznaję zaś skuteczność rezerwatów, tworzonych dla pewnych, ściśle określonych i ograniczonych celów i zadań. W stosunku do przedstawicieli fauny myśliwskiej nie widzę, aby w naszych warunkach jakiekolwiek poważniejsze cele dało się w tej drodze osiągnąć. Wyeliminowanie wpływów człowieka w tej dziedzinie nie wydaje mi się możliwem. Obrazowo kwestję tę przedstawia prof. Kazimierz Wodzicki w Nr. 13 „Ł. P." z roku bieżącego.

Celowa i skuteczna ochrona fauny winna iść więc raczej w kierunku poskramiania szkodliwej, a częstokroć nieusprawiedliwionej żadną potrzebą ingerencji człowieka lub, w ostatecznym razie—neutralizowania szkodliwych jej skutków. Na tej drodze częstokroć bardzo dużo jest do zrobienia, a postawione zadanie daje się nieraz całkowicie osiągnąć.

WALENTY GARCZYŃSKI.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Dwa zaproszenia zbiegły się jednocześnie.

„Tok cietrzewi jest taki, jakiego nie można odnaleźć na całem Polesiu" — pisał młody, usłużny i rzutki pan leśniczy S-ka.

„Kaczory idą na głos krekuchy, jak ćmy na światło" — zachęcał pan B., z nad Jasiołdy, którego jedynym felerem była nałogowa i uporczywa chęć napompowania gości różnemi spirytualjami, chęć niestety gorąco popierana miłemi naleganiami uroczej małżonki. „W pińskich błotach" — zapewniała nadobna kusicielka, — „niezdrową wilgoć nazewnątrz należy usuwać zdrową wilgocią wewnątrz" — i własnym przykładem naocznie udowadniała słuszność tej tezy.

Nie byłbym takim miłośnikiem myślistwa, za jakiego uważam się, gdybym nie uległ pokusie. „Zaryzykuję ! Wpierw Podlasie, a następnie Pińszczyzna" — zadecydowałem, wybierając się w podróż.

Od stacji kolejowej Z. do leśniczówki pana S. jest dwadzieścia kilka kilometrów drogi, z których dziewiętnaście przejechałem wagonetką, pędzoną po torze kolejki przez dwóch gajowych, którzy, raz po raz odpychając się od torowiska mocnemi kojami, rozwijali znaczną szybkość ruchu, resztę zaś drogi — na kałamaszce, oczekującej przy kolejce mego przyjazdu. Bez żadnych osobliwych wydarzeń dostałem się do leśniczówki, zbudowanej w lesie na szczerem odludziu, w której ścianach już zaznajomiłem się z serdeczną gościnnością państwa S-kich i doświadczałem maximum przyjemności na polowaniach z „dzikarzami".

Leśnictwo Sz-kie i H-kie, stanowiące część znaczną nadleśnictwa Sz-go, przepełnionego pięknie położonemi głębokiemi i obszernemi jeziorami, prawdopodobnie formacji czasów dyluwjalnych, nie mogą pozczycić się licznemi tokowiskami, chociaż mają cietrzewi wbród. Znikoma ilość miejsc, na których odbywają się toki, wywołuje zdumienie u obserwatora, a tok, liczący dziesięć piętnaście kogutów, zlatujących na harce, już jest uważany tu za wyjątkowo dobry. Za to już się znajduje tokowisko, „jakiego — według określenia miłego gopodarza nie można znaleźć na całem Polesiu". Opolowaliśmy narazie dwa „najlepsze" toki, na których zdobyłem trzy liry, ten zaś „przesławny" pozostawiliśmy na deser. Tymczasem znakomity kłusownik, Iwan, wspomagany przez drugą, mniej słynną osobistość takiej samej profesji, czynił potrzebne przygotowania dla dostania się na tokowisko, urządzał budki i krzątał się zawzięcie. Wreszcie oświadczył, że wszystko gotowe i wyruszać można.

Tok ten słynny jeszcze przed wojną światową i spora ilość rosyjskich dygnitarzy odwiedzała go, a leśna administracja zużywała, ku wygodzie „naczalstwa", dziesięć metrów sześciennych desek i bali na sporządzenie kładek do miejsca czat. W dzisiejszych warunkach, chociaż tok jest nie mniej liczny, niż w czasach przeszłych, i mógłby przyjąć jednorazowo kilkunastu myśliwych, zadowalając wynikami wszystkich, tylko najbardziej zapalony amator-ryzykant odważy się na próbę pokuszenia się cząstką jego wielkich bogactw, a czy każdy z takich zapaleńców będzie miał ochotę na powtórne odwiedziny? — bardzo wątpię.

Potężne bagno „Kniaź", które w niedalekiej przyszłości było osiedlem i ostoją łosi, szeroko rozłożyło się w lasach nadleśnictwa Sz-go, obejmując przestrzeń bodaj że kilkunastu setek hektarów. Suto porośnięte podszytym dżunglą oczeretów, naprzemian z bujnemi chwastami, karłowatym lasem, pełne trzęsawisk, tajemniczych zakątków i grzęd, pokrytych płaszczem z dżetów i paciorków leśnych jagód, kryjące rozrzucone śród haszczów łozy i olszyny wysepki gąszczów brzozowych i sosnowych zagajów oraz szuwarów błotnych, — użycza gościny dziczym lęgom, daje przytułek chroniącym się od dokuczliwych owadów sarnom i służy jako dogodne siedlisko młodemu pokoleniu cietrzewi, które mają tu wymarzone warunki bytu: pewność bezpieczeństwa i obfity żer. Nie każdy myśliwy, nawet przy pomocy dobrego wyżła, potrafi odszukać w morzu gęstwiny i zmusić do poderwania się wyciekające stadko, lub starego wypiórka, a tembardziej niekażdy strzelec potrafi zademonstrować celność swych strzałów do porywających się w wysokich krzakach ptaków. Żaden z powietrznych drapieżników nie zdobywa tu łupu, a złodziejsko-bandyckie szperania wszędobylskiego lisa, źle się opłacają rudemu zbójowi, nie czynią dostrzegalnego uszczerbku w szeregach cietrzewi, i wykonują raczej dodatnią selekcję, usuwając mniej przysposobione do życia, słabsze, lub obdarzone kalectwem jednostki.

Część „Kniaź" bagna, nosząca nazwę „Teterycze", pozbawione zarośli, za wyjątkiem rozsianych tu i owdzie, małych ostrowów brzozowych i pojedyńczych brzózek, z wyglądu przypomina krajobraz syberyjski tak zwanego „brzozowego stepu", przeniesionego z dalekiego Akmolinu na płótno naszego Podlasia tylko przez kaprys natury — malarza.

Miejscowość ta, zależnie od wylewu wiosennych wód i stanu roztopów, jest przez dłuższy okres czasu zalana wodną płaszczyzną, pokrytą ruchomym wzdętym „kożuchem", na którym nikt się nie odważa zapuszczać, a gdy spłynie powódź, staje się podmoczoną, usłaną topieliskami, olbrzymią łąką, po której spacer niczem się nie różni od wzlotów i opadów huśtawki, a skoszona na niej trawa może służyć za pokarm tylko dla niewybrednej miejscowości „chudoby" (bydła). Od dużego lasu „Teterycze" oddzielone jest pasmem błota szerokości kilkuset metrów, na którem rosnące kępki szuwarów ledwie wytrzymują ciężar ludzkiej stopy i tylko miejscowemu ludkowi służą za drogowskazy możliwych do przejścia ścieżek. Jak można sądzić z nazwy, „Teterycze" od wieków ściągało i obecnie ściąga setki cietrzewi i jest jednem, rozległem, jak sięgnąć okiem, tokowiskiem, gdzie wiosną dosłownie goluje się, wre i grzmi od niezliczonej ilości czarnych amantów, którzy nie potrzebują szukać, a i niemogliby odnaleźć lepszych terenów dla swych miłosnych wyczynów. W tem jest przyczyna braku najmniejszych tokowisk w okalających „Kniaź" bagno lasach, po „zachodach" i na przyległych do lasów polach.

Wyszliśmy z leśniczówki późnym wieczorem. Przedzieraliśmy się leśną drożyną, a następnie naprzełaj, przez oddział lasu. Pochód nasz przez zarośla, oświetlany trzema naftowemi pochodniami, nie był uciążliwy, chociaż urozmaicał się ciągłą groźbą utraty wzroku. Idący przedemną Iwan wyłazil ze skóry, aby udowodnić swą troskliwość i roztaczanie nad mojem bezpieczeństwem opieki. Manipulował zawzięcie pochodnią, skwapliwie uchylał zagradzające drogę gałązki i ciągle nawoływał do baczności. Chyba nie jego zabiegom, a własnemu pechowi zawdzięczałem ponsowo-sine pręgi na policzkach od dotkliwych i bolesnych uderzeń pręcin, uchylanych grzecznie, a następnie puszczanych akurat w momencie, gdy ich ani uchylać,



Karasińskie trofea. Fot. gen. St. Skrzyński.

ani puszczać nie było potrzeby i gdy pochodnia Iwana oświetlała moje kolana, lub rzucała światło, wysoko ponad naszemi głowami, gdzieś między konary drzew. Nie pomstowałem, gdyż każdy nocny spacer po bezdrożach przez las uprzyjemnia się mniejszemi lub większemi obrażeniami cielesnemi. Jeszcze u skraju „Teterycz" nie zdawałem sobie sprawy z tego, jakie trudności trzeba przezwyciężyć, aby się dostać do budek. Dopiero niesamowite narzędzia — długie tyki, snopki suchej słomy „dla podpałki" (?), kawałki sznurów, i drugiego mego kompana — zawsze wesołego pana doktora z Sz-ka w połączeniu z zatrważającemi przygotowaniami się do dalszej drogi naszych „prowodyrów" — naprowadziły mój zaniepokojony umysł na tory smutnych rozmyślań nad zbliżającemi się torturami. „Berioza póczku puszczajet — pierwosórtnoje wremje na toki" (brzoza puszcza pąki — czas na toki najlepszy) prawił Iwan, popisując się znajomością rosyjkiego języka, zrzucając spodnie i podwiązując na szyi kawałkiem sznura moją dubeltówkę. „Takiego toku, jak ten" —ciągnął dalej — „nikt nie rozpędzi; można strzelać, jak tylko oko dojrzy, można obok budki rozłożyć ogień i obsuszyć (o rety! więc intrygujące snopki służyć mają do tego celu!), można wódkę pić i pieśni śpiewać — a wszystko to w niczem tokowi nie przeszkodzi." Noc, chociaż

tnajowa, wcale nie grzeszyła ciepłem. „Ładna perspektywa nas oczekuje z rozpaleniem ogniska, rozbieraniem się do naga i suszeniem ubrania!" — pomyślałem, zawsze szczękając zębami. „No, Iwan, ruszajmy już! zakomenderował dziwnie zgaszonym głosem pan S-ki. Ruszyliśmy. Prędko zrozumiałem błogosławione znaczenie długich i mocnych tyk, za które trzymałem się całą siłą mych dłoni, gdyż pierwszy krok na kępkę szuwarów, szybko pogrążającą się w bezdenną jakby otchłań, oraz światełko latarni Iwana, jakby zapadające w ziemię tuż przedemną — pouczyły mnie o tem, jak się ratować od zagłady. Bez skrupułów korzystałem z nabytego doświadczenia. Końce dwóch tyk leżały na ramionach idącego przedemną Iwana i podążającego z tyłu jego pomocnika. W środku, między tykami, jak nędzny tłomok na noszach tragarzy, tkwiłem ja, zdany na łaskę moich przewodników. Każdy chwiejny krok moich „nosicieli, każde zerwanie się kożucha pod nogą jednego z nich odczuwałem natychmiast i chociaż drętwiałem z przerażenia, reagowałem na nie niezwłocznie i odpowiednio. Zlany potem, rozpaczliwie poszukując punktów oparcia dla nóg, wczepiony konwulsyjnie w moje „nosze", och jakże często zawisałem na nich całym ciężarem ciała, wtłaczając jednego lub drugiego chłopa w błocko. Nie miałem czasu i ochoty myśleć o tem, jak tam sobie radzą moi towarzysze polowania, chociaż urywane okrzyki zgrozy, lub zdławionego przekleństwa dolatywały do moich uszu.

Długą, bez końca długą była droga, bez granic powolnemi były nasze ruchy naprzód! Jednak dowlekliśmy się. Najmniej ucierpiałem, gdyż, zawdzięczając tykom i ramionom chłopskim, przemokłem tylko poza kolana, następnym z kolei był lekki i zwinny gospodarz, trzecim gmach — mężczyzna, doktór, który ubabrał się wyżej pasa, a na ostatku moi „opiekunowie", przemoczeni wodą i umazani błotem prawie od głowy do stóp. Nie chciałem „suszyć się" i kropnąwszy z flaszki sporą porcję koniaku, zająłem moją budkę, sklepioną z brzozowych gałęzi na wzniesieniu z drążków i kołków, zawalonych chróstem, które oznaczało miejsce, gdzie stał stożek w roku przeszłym i gdzie będzie ułożony nowy w roku bieżącym.

Wkrótce w atramentowej ciemności, spowijającej obszary bagna rozbłysły dwa ogniska. — Towarzystwo suszyło się. Siedziałem na grubej, drewnianej poprzeczce, opartej na dwóch kołkach. Podemną cicho syczała przelewająca się w zdeptanym chróście woda. Starałem się wyciągnąć nogi jaknajbardziej poziomo i paliłem papierosa za papierosem. Przemoczone kończyny prędko odrętwiały, więc zmieniałem pozycję, pakowałem je w połamaną ściółkę chróstu i zanurzałem stopy w wodzie. Zziębłem okrutnie. Zazdrościłem tym, którzy, chociaż nadzy, siedzą w tej chwili w błogiem cieple ogniska. Dzwoniłem bez przerwy zębami, wyssałem do dna flaszkę koniaku, dostrzegłem ostatnie ulatujące w mrok nocy iskry gasnących ognisk, czekałem z utęsknieniem wschodu słońca, doczekałem się piekielnego bólu w okolicy nerek. . —a świt uparł się i jakby zamierzał wcale się nie zjawić. Aby przerwać dygotanie ciała, skurczyłem się, jak mogłem, zacisnąłem mocno powieki i starałem się przekonać zmordowane członki, że wcale nie jest tak zimno, jak im się wydaje.

(C. d. n.) STANISŁAW SKRZYŃSKI.

CZORTOWE DOŁY.

Długo, zda się bez końca, wlecze się pociąg, jadący na Kresy. Tego dnia jednak nie odczuwałem wcale nieprzyjemnych stron tej długiej podróży, myśl moja nie była w stanie zatrzymać się na takich szczegółach, jak niedomykające się okna, wciąż otwierające się drzwiczki, lub niepomiernie długie postoje na stacjach: jechałem na toki.

Toki... to słowo czarodziejskie wystarczyło, bym zapomniał o wszystkich kłopotach i zmartwieniach, wlewało w duszę strumień pogodnej radości i spokojnego, choć niecierpliwie oczekiwanego szczęścia.

Już za Kowlem krajobraz począł się zmieniać, coraz częściej widać łąki rozległe, porośnięte karłowatemi sosenkami i olszyną, gdy zaś pod wieczór wysiadłem na stacji K., miałem przez chwilę nieprzyjemne wrażenie, że pociąg stanął w szczerem polu, gdyż stację stanowił wagon, ustawiony na bocznym torze, pozatem nie było nic, dosłownie nic. Z niepokojem począłem rozglądać się za końmi, których nigdzie nie było widać. Gdy pociąg ruszył, okazało się, że stały po drugiej stronie toru; z powodu złej drogi furman Harasym spóźnił się nieco i nie zdążył na stację.

— Daleko do domu? — spytałem, gramoląc się na dziwny wehikuł, coś w rodzaju sanek, ustawionych na czterech kołach.

— Bude z desiat werst.

— Tylko dziesięć?

— Nu z hakom!

Ponieważ była dopiero piąta, więc licząc na bardzo wolną jazdę, miałem nadzieję, że około siódmej będę na miejscu. Z początku droga była zupełnie znośna, dopiero gdyśmy wjechali w większy las, zaczęło się podskakiwanie na korzeniach i źle wykarczowanych pieńkach, mimo to jednak jechaliśmy dość prędko, tak, że miałem nadzieję przed zmrokiem dojechać. Po dwóch godzinach spytałem, czy jeszcze daleko, myśląc, że już dojeżdżamy.

— Ot, bude awstryjacka szosa, a potem my już w domu, — odparł Harasym, siląc się, by mówić poprawnie po polsku.

Znałem już z doświadczenia, co to są austrjackie drewniane szosy, ta jednak gorszą była od innych, poprostu szereg okrąglaków, po których się podskakuje, jak po najgorszej grudzie w zimie. Jedziemy tak i jedziemy, „szosa" się skończyła, zrobiło się ciemno, a o dojechaniu jeszcze mowy niema.

— Łane dziesięć wiorst! — odezwałem się do Harasyma.

— Nu, ja skazał panoczku, szo z hakom.

Dopiero o dziewiątej zajechaliśmy do leśniczówki, gdzie mieszkał mój kolega, gdyż dwór w czasie wojny kozacy spalili.

Po serdecznem przywitaniu się, zasiedliśmy zaraz do kolacji, która składała się z potraw czysto myśliwskich: szynka z dzika na przekąskę i do tego świetna żubrówka, następnie były słonki, pieczone na grzankach, a na zakończenie kisiel żórawinowy.

— Chyba jutro nie jedziesz na toki? — spytał mój kolega.

— A to czemu?

— No, zmęczony pewnie jesteś, zresztą barometr spada i rosy niema, pewnie będzie deszcz lub nawet burza, pozatem mam przeczucie, że jutro ci się nie poszczęści, lepiej wypocznij trochę po takiej długiej podróży.

— Ależ mowy niema; nie na to tu przyjechałem, żeby się wysypiać, mój kochany, chyba, że ci tem jakiś kłopot sprawiam?

— Nie, bynajmniej tylko tak myślałem... no, ale jeżeli jesteś zdecydowany, to i ja pojadę, tymczasem chodźmy się trochę przespać bo już późno, a po dwunastej trzeba wyruszyć, żeby być na czas.

Byłem zmęczony, więc prędko zasnąłem, choć trapiła mnie myśl, czy aby będą tokowały, czy pogoda dopisze? O dwunastej przyszedł mnie obudzić Harasym i przyniósł szklankę gorącej herbaty.

— Jak z pogodą? — spytałem niespokojny.

— Jest tilki ne dołho, — mruknął stary.

Gdy wyszedłem na ganek, ciemności ogarnęły mnie, tak, że z początku nic nie mogłem rozpoznać. Dopiero po chwili zobaczyłem wózek, stojący przedemną, spojrzałem w górę i otucha wstąpiła mi w serce, niebo iskrzyło się miljardami gwiazd i czyste było zupełnie, tylko na zachodzie widać było parę ciemnych chmurek.

W milczeniu wyruszyliśmy i po chwili światła leśniczówki zginęły mi z oczu. W lesie było tak ciemno, iż nie widziałem wcale drogi przed sobą i podziwiałem, z jaką łatwością Harasym wymijał większe wyboje i wystające korzenie. Jechaliśmy tak z pół godziny, gdy wtem zobaczyłem przez chwilę świecące się przed nami dwa punkty i coś przemknęło przez drogę.

— Zając przebiegł drogę... tfu na psa urok — mruknął pod nosem mój towarzysz.

— Dałbyś już spokój z tem krakaniem, — rzekłem niezadowolony.

— A może to nie zając, zeszłego roku na wiosnę mamidło zapędziło tu kłusownika w „Czortowe doły" choć znał las lepiej, niż ja i Harasym.

— Co to są „Czortowe doły"? — spytałem zaciekawiony.

W tej chwili skręciliśmy z drogi, i zdawało mi się, że jedziemy na przełaj przez las.

— Zaraz je będziemy przejeżdżali; są to bagna bezdenne, porośnięte piękną zieloną trawą, kto zbłądzi i tam się dostanie, nie może się wyratować, chyba cudem. Podczas wojny ułan z koniem w nich się utopił i to w oczach bezsilnych towarzyszy.

— Daleko od drogi do tego bagna, — spytałem zaniepokojony.

— Wystarczy zjechać jakie dwadzieścia kroków, zresztą tu drogi niema, jedziemy nad skrajem topieli, innego przejazdu niema, chyba objechać las dokoła, ale na to trzeba czterech do pięciu godzin, a tędy tylko dwie godziny się jedzie.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, ale zdawało mi się, że zamiast się rozjaśniać — robiło się coraz ciemniej, spojrzałem w niebo, gwiazdy znikły i ciemne chmury pokryły pół nieba; zrozumiałem, że z toków nic nie będzie... Gdzieś daleko błysnęło się, a po długiej chwili usłyszałem przygłuszony grzmot.

— Trzeba wracać, nic z tego dziś nie będzie — rzekł mój kolega do mnie, ale zarazem i do Harasyma, — ale tu się nie da zawrócić, musimy jeszcze z pół wiorsty ujechać.

Tymczasem szybko zbliżała się nawałnica, zrobiło się tak ciemno, że nie widziałem przed sobą pleców Harasyma, tylko coraz gęstsze błyskawice rozjaśniały mroki, by po chwili znów nas pogrążyć w jeszcze większe ciemności.



Droga do tokowiska. Fot. Henryk Tyszkiewicz.

Gdy zawracaliśmy, lunął deszcz, zrobiło się jeszcze ciemniej, choć przed chwilą zdawało mi się to niepodobieństwem. Burza rozszalała się nad lasem, i pioruny poczęły bić coraz bliżej... Naraz piorun uderzył tuż za nami w drzewo, konie wspięły się i ruszyły z kopyta, unosząc wózek we wściekłym galopie, pomimo ciężkiej i błotnistej drogi. Przypomniałem sobie Czortowe doły i spojrzałem w bok, przez chwilę zdało mi się, że widzę jakieś światełko między drzewami i słyszę wyraźny śmiech... Zimno mi się w plecy zrobiło. Jak długo trwała ta szalona jazda, nie wiem; wydawała mi się bez końca; wtem konie zwolniły. Usłyszałem plusk przed sobą i wózek zatrzymał się pochylony silnie na moją stronę. Ze zgrozą poczułem, że grzęźniemy w błocie; chciałem się wyrwać, wyskoczyć... niepodobna, nogi miałem, jak z ołowiu, nie mogłem się ruszyć... Czy to strach tak mnie sparaliżował... W tej chwili słyszę chichot nad sobą:

— No, wyłaź śpiochu, już budka!

Odrazu oprzytomniałem, zmęczenie po podróży zrobiło swoje; zdrzemnąłem się i zsunąłem z siedzenia na dno wózka, wyłożone sianem. Owe grzmoty i pioruny, to stukanie o korzenie, a że słyszałem śmiech, to mogę zaręczyć, że nie były to duchy leśne, tylko mój towarzysz śmiał się ze mnie.

Nieco zawstydzony wysiadam z wózka, naokoło łąki, porośnięte krzakami i zasnute białemi pasmami mgieł, na wschodzie niebo poczynało blednąc. Z trudem rozpoznałem budkę, znajdującą się o kilka kroków, szaro było zupełnie, miałem dobre pół godziny czasu przed sobą do usłyszenia pierwszych czuszykań. Zasiadłem w budce i czekałem spokojnie; gwiazdy gasły powoli nademną... zacząłem wsłuchiwać się w cudną melodję wiosennego ranka, w odgłosy budzącego się lasu; gdzieś na łące słychać było jękliwe głosy czajek, nademną w błękicie raz po raz odzywał się bekas, brzęcząc, jak komar nad uchem.

Wtem z szumem nadleciał pierwszy kogut i z głośnym łopotem skrzydeł zapadł niedaleko mnie. Po chwili odezwał się cichym syczeniem, przechodzącem w czuszykanie, wzywał na ranny tok. Poczęły wnet zlatywać i inne koguty tak, że wciąż było słychać głośno zapadające sztuki. Po paru próbnych i nieśmiałych czuszykaniach i bełkotaniach, rozegrały się na dobre, tak, że otaczała mnie nieustająca pieśń... pieśń miłosna czarnych rycerzy.

Zaczynało dnieć, w bladym brzasku porannym powoli rozpoznawałem poszczególne sztuki; trzy miałem na strzał, reszta, kilkanaście kogutów, tokowała w promieniu dwustu kroków od budki. Niedługo trwał ten sielankowy nastrój wśród czarnych ptaków, wnet dwa poczęły się zbliżać do siebie, czuszykając głośno i rozwijając wachlarze. Chwilę stały tak naprzeciw siebie, zniżając i podnosząc łebki, a każdy upatrywał miejsca, gdzie dogodnie mógłby uderzyć na przeciwnika. Wtem dało się słyszeć kwilenie jastrzębia i duży myszołów ukazał się z nad lasu, odrazu cietrzewie zwinęły ogony, umilkły i poczęły trwożliwie spoglądać w niebo... lecz niebezpieczeństwo nie stąd im zagrażało; dwukrotnie huknął strzał i dwa najbliższe rozpuściwszy skrzydła, legły martwe na ziemi, trzeci szybko odlatywał do lasu. Pozostałe czy to nie pojęły, co się stało, czy sądziły, że grom z nieba uderzył, ani drgnęły; cisza zaległa nad łąką.

Na wschodzie ukazała się purpurowa tarcza słoneczna i zalała szkarłatem łąkę; rosa iskrzyła się tysiącem barw, a krzaki i drzewka wyglądały, jak pokryte brylantami. Jeszcze godzinę siedziałem w budce, roskoszując się pięknem tego wiosennego ranka i choć miałem możność ubicia jeszcze paru cietrzewi, wolałem hukiem strzału nie mącić tego cudownego nastroju.

HENRYK TYSZKIEWICZ.

INAUGURACYJNE POSIEDZENIE NACZELNEJ RADY STRZELECTWA W POLSCE.

Dnia 8 b. m. w sali konferencyjnej P. U. W. F. i P. W. w Warszawie o godz. 10 r. rozpoczęły się obrady inauguracyjne Naczelnej Rady Strzelectwa. W skład Rady wchodzą przedstawiciele: Związku Strzeleckiego, Związku Broni Małokalibrowej, Polsk. Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Związku Łuczników oraz Kolegjum Sędziów.

W obradach, którym przewodniczył kom. gł. Zw. Strzel. płk. Rusin, przyjęło udział przeszło 30 osób. — Pol. Zw. Stow. Łow. reprezentowali członkowie Zarządu pp.: Bohdan Gędziorowski i Czesław Lisowski.

Rada wyłoniła 4 komisje: Programowo - Organizacyjną, Regulaminową, Techniczną, Odznaki Strzeleckiej. W pierwszych trzech komisjach przyjmują udział delegaci P. Z. S. Łow.

•

O godz. 5-ej po poł. Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjąć raczył uczestników zjazdu Naczelnej Rady Strzelectwa oraz zaproszonych specjalnie dla przedstawienia Panu Prezydentowi wybitnych działaczy, i czołowych zawodników w strzelaniach wojskowych, myśliwskich i łucznych.

Zpośród działaczy i organizatorów narodowych i międzynarodowych zawodów w strzelaniach myśliwskich z ramienia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na przyjęciu obecni byli pp.: Viceprezes Zarządu gen. dyw. K. Fabrycy, J. hr. Bielski - Lwów H. Górski - Poznań, Wł. Żarnowski - Radom, B. Gędziorowski, C. Lisowski i K. Kamieński — Warszawa. Z czołowych zawodników w strzelaniach myśliwskich—pp. J. Kiszkurno (mistrz świata, Europy i Polki z r. 1930 w strzel. do rzutków), kpt. J. Podoski (czł. ekipy — mistrza świata w strz. do jelenia), W. Goliszewski (mistrz Polski z r. 1931 w strz. do rzutków), K. Koschembahr-Łyskowski (mistrz Lwowa z r. 1931 w strz. do rzutków), Al. Ostrowski (mistrz Polski, Małopolski i Lwowa w strz. do jelenia), A. Baranowski (czł. ekipy reprez. Polski w międz. strz. do rzutków we Lwowie), St. Czerski(czł. ekipy reprez. Polski w międzynar. strz. do rzutków w Sopotach).

P. Viceminister spraw wojskowych gen dyw Fabrycy w przemówieniu powitalnem podniósł znaczenie wychowawcze sportu strzeleckiego dla sprawy obrony Państwa.

Płk. Felsztyn w dłuższym referacie przedstawił historję rozwoju sportu strzeleckiego w Polsce, podkreślając, iż polscy zawodnicy w ostatnim roku wysunęli się na czoło w międzynarodowych zawodach, zdobywając pięć mistrzostw świata i Europy, a w tem trzy mistrzostwa w strzelaniach myśliwskich.

Następnie wszyscy obecni przedstawieni zostali Panu Prezydentowi. Po wspólnem zdjęciu, podano herbatę, która w miłym nastroju przeciągnęła się do godz. 7-ej wiecz.

Pan Prezydent spędził dłuższą chwilę w rozmowie z pp. gen. Fabrycym i hr. Bielskim, żywo interesując się strzelaniem myśliwskiem i sprawami łowiectwa wogóle.

Za zasługi na polu strzelnictwa w Polsce w dziale organizacji i strzelania myśliwskiego odznaczeni zo-

stali: złotym krzyżem zasługi ś. p. Adam Ebenberger, — b. komisarz strzelnic myśliwskich na zawodach narodowych i międzynarodowych i Józef Kiszkurno — zdobywca mistrzostwa świata; srebrnym krzyżem zasługi pp.: Eustachy Barański, kpt. Jerzy Podoski i por. Kazimierz Zalewski — członkowie zespołu, który zdobył mistrzostwo świata w strzelaniu do jelenia.

ZAPAŁ, NIE WYWOŁUJĄCY RDZY.

W pierwszej już pracy, jaką w przedmiocie prochów małodymnych przyswoiłem (patrz Nr 4 „Łowca Polskiego" 1932 r.), nazwałem je mało — a nie bezdymnemi. Później dyrektor Instytutu (mój kolega Thiel) nie bez mojego wpływu zaczął je nazywać „rauchschwach", a nie „rauchlos". Po powszechnem prochów tych wprowadzeniu, zauważono przy nikłym nawet w lufie osadzie wtórne rdzewienie (nachrosten).

Utrzymywano długie lata, jakoby przyczyną był występujący przy spalaniu kwas saletrowy. Zupełnie fałszywie! Przy spalaniu się prochów małodymnych wytwarzają się: azot, tlenek węgla i woda, woda wywołuje zjawiający się na 20 — 50 cm. przed wylotem obłoczek dymu.

Produkty spalania prochu zależą bardzo od ciśnienia i temperatury; ten sam proch inaczej się zapala i spala na wierzchu, inaczej w lufie. R d z e w i e n i e z a l e ż n e j e s t o d k a p i s z o n a.

Prochy małodymne zapalają się wogóle l e n i w i e, nie wybuchowo — jak czarne, wymagają przeto bardzo silnego kapiszona,; ze względów zatem technicznych kapiszon musiał dostać większy (6.45 — 5,5 mm) ładunek piorunjanu rtęci, przy odpowiedniej dozie potasu.

Tlenek potasu stanowi podłoże do rdzy, która wżera się w pory stali, czepiając się w sztucerze gwintów, a wogóle pierwszej najdrobniejszej nieczystości. Tutaj należy się odrazu zdecydować po obejrzeniu luf przez lustro (optischer Lauf-prüfer H. Kollmorgen Berlin W. 57) czy zastosować czyszczenie chemiczne, czy delikatne pucowanie (patrz mój artykuł: „O czyszczeniu" „Łowiec" 27.IX.1930).

Lata pracy fabryk amunicyjnych skierowane były, aby zrobić amunicję dla broni krótkiej i pistoletów gwarantującą długotrwałość ich użycia. Podczas gdy Szwajcarja i Stany Zjednoczone dawno już pracowały nad kapiszonem przy wybitnej pomocy władz wojskowych, niemiecka nauka była pod tym względem prywatnej tylko pozostawiona inicjatywie. Bardzo wybitnej pracy Towarzystwa „Rheinisch Westfallische Sprengstoff A. G." (dawniej H. Utendoerffer) w Norymberdze udało się w w zupełności zastąpić piorunjan rtęci i potas, i stworzyć k a p i s z o n, n i e d a j ą c y r d z y, a mający najwyższą potrzebną wrażliwość. Potas został zastąpiony przez inne związki organiczne, które zapalając się, nie mogą wywołać żadnych szkodliwych produktów.

WŁ. SŁONCZYŃSKI.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

OCHRONA ŁOSIA.

Dn. 6 b. m. odbyło się w Warszawie, w lokalu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, posiedzenie organizacyjne Sekcji ochrony i hodowli łosia w Polsce.

Obecni byli pp.: prof. Gieysztor, dr. Zaborowski, inż. Knothe, dyr. Gędziorowski i Lisowski.

Przyjęto regulamin Sekcji i postanowiono przedstawić go do zatwierdzenia Wydziałowi Wykonawczemu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Wysłuchano referatu, jaki prof. Gieysztor wygłosi na posiedzeniu Komisji ochrony łosia, utworzonej przez Conseil International de la Chasse, które odbędzie się w Berlinie, dnia 21 maja r. b.

WALNE ZGROMADZENIE WOJSKOWEGO TOW. ŁOWIECKIEGO.

Zarząd Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie zwołuje Walne Zgromadzenie T-wa na dzień 20 maja r. b. o godz. 17.30 w sali kasyna garnizonowego, Al. Szucha 29.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

R e d a k t o r: Walenty Włodzimierz Garczyński. **W y d a w c a:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.



Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.